

PISMO NIE (P) O KOLEI

BOCZNY

TOR 424

drobiny niczego



Znalezisko

Ktoś kiedyś wędkował może jak Ota Pavel
z ojcem na ryby się wyprawiał zostawił
pamiątkę: dla siebie dzieci wnucząt śmieciarzy
którzy spóźniają się po graty z piwnicy
wywleczone na pastwę słotnych dni i nocy
nieskore do zabawy w przemijanie

Zima z błotem

milczenie jest złotem
milczenie jest srebrem
przesadnie żebrzę



Ciacho w Ciechocinku

Tej chrupnęło w stawie, tamtą, no proszę,
po jednym tańcu kładą na nosze.

Głośno się mówi, mało kto słyszy,
królują włosy w kolorze myszy.

Kiedy pytają, gdzie WC lub jak zdrowie,
wpycham kolejne ciasto drożdżowe.

Tyle, liczyłem, będzie towaru!

Miałem być ciacho – jem ciacho stare
na kwadrans przed zamknięciem baru.

Ciacho z Ciechocinka? Raczej zaschła ślinka.

Bida, panie, bida – może spróbować tu w maju?

Zdążyć do tężni! Wszyscy tam idą,
nie wszyscy wracają...



Stacja milczenie

/ cytatnik

Znów napisał do mnie nieżyjący przyjaciel Sándor:

„Te długie lutowe noce, kiedy w wyziębionym pokoju budzi nas skomlenie wiatru, dygocząc, siadamy w łóżku, zapalamy nocną lampkę, sięgamy po papierośkę, spoglądamy na zegarek — już wcześniej zaczęło świtać, ale nie ma w tym wiele radości, ponieważ i za dnia siedzieliśmy w kucki w jaskini zimy, pośród chorób, pękających rur, dymiących pieców, nieukończonych prac literackich i beznadziejnych, ponurych zajęć, zakutani w łachmany i futra, chuchamy na sine paznokcie i przychodzi nam na myśl, że znów minął karnawał, w okno stukają lodowate palce Środy Popielcowej, czas zabawy minął, radość się ulotniła, a my się postarzeliliśmy.

I tak siedzimy o wczesnym poranku, przygnębieni, z sinymi paznokciami. Spiżarnia, którą jesienią



roztropnie zapełniliśmy, już świeci pustkami; zjedliśmy konfitury i wędzony boczek, zjadamy resztki kiszanej kapusty. W tych tygodniach katar nęka naszych znajomych. Kobiety w lakierkach brodzą w błocie topniejącego śniegu, ociężałe, z cynobrowymi nosami, wszelkie znamiona kobiecości ograniczając do wisiorzków i spojrzeń. Nocami z odrazą spoglądamy na książki: zdaje się nam, że przeczytaliśmy wszystko i już żadna książka nie jest w stanie nam pomóc. W ciągu dnia na pół godzinki kładziemy się pod kwarcówką i szeroko otwartymi ustami chciwie łykamy, ssiemy blask o smaku ozonu, cmoktamy sztuczne promienie tak zawzięcie i zachłannie, jak jakieś niewolnicze plemię harujące pod ziemią tęskni do światła wolności. Wspominamy światło, którego nam teraz rozpaczliwie brakuje, światło, w którym jest coś pogańskiego i bezlitosnego, coś niemoralnego i wspaniałego, jak w życiu... Myślimy też o tym, że to jest ten miesiąc, który obfi-

tuje w koncerty symfoniczne i zapalenia płuc. To jest miesiąc, kiedy wykonujemy możliwie najmniej ruchów, żyjąc ostrożnie i oszczędnie, jak mądre zwierzęta, które w tym czasie redukują swoją aktywność, bronią się bezruchem, drzemią ze spowolnionym tętnem i mrugając, czekają w zagadkowym półśnie na słońce. W tych tygodniach zima ma się ku końcowi, wskazane jest żyć bez szczególnego trwonienia energii: pisać krócej, najwyżej cztery, pięć linijek naraz, jak niedźwiedzie.

Ale przed świtem, w powolnym powrocie do przytomności, dopada nas karnawał, który znowu szaleje obok nas, w przebraniu, z falującymi w powietrzu wstążkami, kolorowym konfetti zasypuje świat, piszczy i wrzeszczy, daje nam znaki, macha ręką, a my schodzimy mu z drogi. I oto już jest poranek, który sypie popiół na nasze głowy. Za oknem psotny wiatr tarmosi drzewa. Być może, myślimy, drżąc z zimna, było w naszym życiu coś nieokiełznanego



i nadmiernego, jakaś durna radość, dzikie i rozwrzeszczane szczęście, które gwizdało na dostojeństwo rozumu – i może o to właśnie chodziło; tylko my nie wiedzieliśmy o tym”.

Sándor Márai, *Cztery pory roku* (oryg. *A négy évszak*, 1938)
przełożył Feliks Netz, wyd. Czytelnik, W-wa 2015, s. 29–30

Nigdy się nie poznaliśmy, więc nie mogłem dopytać o drobiazg, dla mnie istotny, z powodów nie do końca zrozumiałych. Gdy przepisywałem ten fragment korespondencji, wstęp do lutego (jasne, mogłem zrobić fotkę lub skan, ale wtedy zwyciężyłby jak zawsze czas; nie dbam o wygraną, wystarczy mi, że mogę zejść z drogi, przepuszczając peletony), więc gdy pomału przepisywałem słowo po słowie, doszło do mnie, że nie z każdym mogę się zgodzić, nie każdy wyraz wyraża tę całość, którą jednak czuję podobnie.

Jedno przynajmniej słowo, z tych, które tu przepisałem, podlega niemożliwej konsultacji – w końcówce drugiego akapitu, fragmencie: „pisać krócej, naj-

wyżej cztery, pięć linijek naraz, jak niedźwiedzie” – wyraz: „naraz”, czy nie powinno być: „na raz”? A może to się udaje niektórym: pisać cztery, pięć linijek jednocześnie, naraz, nagle... i po sprawie! Nie dowiem się ani od Autora, ani ś.p. Tłumacza, korekta zrobiła pewnie, co mogła, a wydawca przepuścił cały nakład. Przepisuję z wypożyczonego egzemplarza, własnego nie mam, bo parę lat temu pozbyłem się go w imię walki z ponuractwem. Wróciło. Jest ze mną. Zawsze było. Luty, luty! Sándor! Dziękuję!

I jedno jeszcze: czy to trik pisarza, czy naprawdę widział pan, panie S., piszące niedźwiedzie? /mz



Anna Świrszczyńska

Kiedy zgasło nade mną
słońce,
musiałam sama
stać się słońcem.

To było trudne, ale teraz
jaka wygoda.



Sen mocny

To pomieszanie powagi i absurdalnych wylewów
z głowy ta trwoga nocna budząca niespełnienia
nic nie znaczące co dnia pomijane uprzątane
potykanie się wstawanie odraczane przemilczane
wymyślanie po czasie spóźnienie od początku
topór końca brak słońca wymysły pomysły
warstwy pustki zdarte warte tyle co nic ból oczu
książki miliony liter rzeczy urok młodości radość
stłumiona imiona nieznane daty przypadkowe
zbieranina odpryski to się nie klei w całość to się
żyje przeżywa gubi znajduje gubi znów mocny
sen nie przychodzi wychodzimy roztrzęsieni
chłód od ziemi chłód osacza się by chciało tak
dobrze ale nie powtarzanie czekanie aż ustanie.

Kolejanka

Wsiadła i odjechała
lub na peronie została.
Albo wsiąść dopiero miała
na jakiejś gdzieś stacji.

Bezpańsko na poszukiwania
w górę i w dół mapy
całą dobę jeździł wagon
z sercem i wersalikami

dla Ani. Wsiadła? Wysiadła?
Serce od kogo czy dla niej – zgadła?
Szczere? Ach, zagadki życia!

Wagon do umycia.



Pod dyktando dzieciota

póki puki dopóki stuki
używajmy korzystajmy
ponadstuletnim drzewom
pokłońmy się niechaj sączą
żywiczny czas będzie las będzie
później bursztyny
całkiem podobne sztorm rzucił
gdy wybiegliśmy z wydm
na ostatni zachód słońca

**Prawdziwe życie jest gdzie indziej,
ale my jesteśmy tutaj.**

Emmanuel Lévinas

motto tomu wierszy Adama Zagajewskiego *Prawdziwe życie*,
Wydawnictwo a5, Kraków 2019

BT nr 424 / 3-11.02.2023

słowa: max zweit; zdjęcia: dast

